

KOŚCIÓŁ • NIEŁATWA MIŁOŚĆ

ks. Grzegorz **Strzelczyk**

KOŚCIÓŁ • NIEŁATWA MIŁOŚĆ

WYDAWNICTWO WAM

Materiał opracowany na podstawie konferencji wygłoszonych przez ks. dr. Grzegorza Strzelczyka podczas rekolekcji wielkopostnych *Kościół – niełatwa miłość* w Bazylice Mariackiej w Krakowie w dniach 2–7 kwietnia 2017 r. Organizatorami rekolekcji były wspólnoty mariackie: Sala na Górze, Schola Mariacka i Chrystus w Starym Mieście.

© Wydawnictwo WAM, 2019

© Rzymskokatolicka Parafia Wniebowzięcia
Najświętszej Maryi Panny w Krakowie

Opieka redakcyjna: Klaudia Bień, Olaf Pietek

Redakcja: Sławomir Rusin, Tomasz Wiścicki

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Agata Hanuszkiewicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-0959-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: Read Me • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

UFNOŚĆ I WSPÓŁCZUCIE

Pod koniec *Credo*, które odmawiamy podczas niedzielnej Eucharystii, znajduje się wyznanie wiary w Kościół. Chyba mało kto jest dostatecznie skupiony, gdy dochodzi do tego miejsca, więc można nie zwrócić uwagi, co się właściwie wyznaje. Zastanówmy się zatem, co to znaczy, że wierzymy w Kościół.

Mam pewien problem z Kościołem, miałem go zresztą, zanim jeszcze zostałem księdzem. Wolałbym mianowicie być nie tu i teraz, ale tam i wtedy, gdzie działały się te wszystkie ważne wydarzenia... Chciałbym być świadkiem wskrzeszenia Łazarza, chodzić za Jezusem i słuchać Jego słów, oglądać Jego zmartwychwstanie. Wydaje mi się, że byłoby mi łatwiej wierzyć. Za późno się urodziliśmy i Dobra Nowina

nie przychodzi do nas z ust Jezusa. Od Jego czasów dzieli nas wiele pokoleń. O wierze opowiedzieli nam jacyś ludzie, bardziej lub mniej święci, mądrzy, lubiani przez nas czy nielubiani, w dodatku sami grzesznicy. A myśląc krytycznie, trudno nie zadać pytania: co rzeczywiście przetrwało z Jego słów, a co jest późniejszą „obudową”? Kiedy się gromadzimy, to czy naprawdę powtarzamy gesty Jezusa, czy raczej coś, co ktoś kiedyś, być może nie najmądrzej, wymyślił? Te wątpliwości były jednym z powodów, dla których zająłem się teologią.

Nie da się ukryć, że zrozumienie nauki Jezusa sprawia nam zasadniczą trudność. Prawdopodobnie nie różnimy się pod tym względem od Jego uczniów. Ciągłe nie dorastamy do wejścia na drogę, którą On nas chce poprowadzić. A może po cichu się jej boimy, bo przeczuwamy, że Ewangelia żąda od nas ni mniej, ni więcej, tylko samego życia. Że tu chodzi o kwestię ostateczną, której nie da się załatwić żadnym półśrodkiem. Jezus wzywa, byśmy wewnątrz tego powołania, którym żyjemy, naśladowali Go

do końca, do utraty życia. Jak sądzę, niejeden z nas wyczuwa, że jeżeli pójdzie za Ewangelią, to będzie musiał zapłacić za to najwyższą cenę. Kiedy bowiem stajemy przed Bogiem, chodzi o całe nasze życie. I być może tego właśnie lękamy się najbardziej.

Chyba każdy człowiek, który ma do czynienia z Kościołem, widzi, że my, uczniowie Jezusa, bywamy załęknieni. Chciałby doświadczyć absolutnej radości Dobrej Nowiny, a napotyka nasz lęk, słabości, niepewność. Do tego stopnia nie zrozumieliśmy Ewangelii, że jako chrześcijanie skłóciliśmy się i podzieliliśmy. Zdarzyło się to w historii kilka razy, ale nie trzeba spoglądać wstecz. Wystarczy zajrzeć do internetu, żeby w czasie rzeczywistym zobaczyć, z jaką perfidią potrafimy to robić każdego dnia. Skoro do tego dochodzi, to znaczy, że coś jest nie tak z naszym rozumieniem Jezusa.

Jestem księdzem już kilkanaście lat, i chyba jestem nim z coraz większym zapamiętaniem. Przekonuję się, że warto nim być wbrew różnym doświadczeniom. Odkryłem bowiem, że Kościół to miejsce, w którym – na

przekór temu, o czym wspomniałem przed chwilą – ludzie mogą dojrzewać do niebywałego poziomu. Świadcstwo tego procesu jest zapisane w Ewangelii. Marta zaczyna od wyrzutu skierowanego do Jezusa: „Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł” (J 11,21nn). Bardzo często relację z Bogiem zaczynamy od jakiegoś interesu; od osobistej sprawy, którą mamy do załatwienia. Idziemy do Boga, żeby rozwiązał nam jakiś problem, zaspokoił jakąś potrzebę. Ta praktyka sięga zapewne ewolucyjnych początków religijności. Tymczasem Jezus chce nas poprowadzić dalej. Kiedy Marta mówi: „wiem, że Bóg da Ci wszystko, o cokolwiek byś Go prosił”, Jezus próbuje ją przenieść z poziomu prośb na poziom relacji: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. Ona wprowadzie wyznaje wiarę: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat”, ale wciąż jeszcze za tą wiarą nie nadąża jej zaufanie. Dlatego kiedy Jezus prosi o odsunięcie kamienia, Marta z dużą dozą rozsądku oponuje: „Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni

w grobie”. Ten zdrowy rozsądek nie pozwala Marcie w pełni zaufać Jezusowi.

Kościół potrafi być inkubatorem zaufania. Może poprowadzić człowieka od wiary służącej mu do załatwiania różnych spraw do wiary będącej przede wszystkim zaufaniem Jezusowi, której celem jest bycie, spotkanie i zjednoczenie z Nim. Kiedy człowiek zaufa Jezusowi, to wie, że nie musi się już troszczyć o swoje życie, bo rodzi się w nim gotowość do tego, by je oddać czy wręcz stracić w służbie innym. Wówczas Kościół staje się wspólnotą, która zaczyna dbać o cierpiących, o odrzuconych, o ubogich, która potrafi współodczuwać z innymi, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa.

Jezus chce nas doprowadzić do współczucia. Kiedy człowiek zaczyna Mu ufać, zdobywa odwagę potrzebną do stanięcia przy cierpiącym i trwania przy nim, nawet w sytuacji kompletnej bezradności. Tak też rodzi się wspólnota. Ci, którzy poszli tą drogą do końca, to święci. Zwykle jednak gotowość do ofiarowania swojego życia wiele razy zderza się z naszymi lękami, granicami,

głupotą, z czymś, czego nie potrafimy ogarnąć. Wtedy Kościół okazuje się wspólnotą grzeszników – i to boli. Jest to jednak wspólnota grzeszników, którym Bóg znowu chce przebaczyć. I przebacz.

ABSOLUTNA DARMOWOŚĆ PRZEBACZENIA

Choćby nie wiem jak paskudnych czynów się dopuszczamy, Bóg przychodzi z pojednaniem. Być może największym cudem nie jest wskrzeszanie umarłych, tylko przebaczenie, które Bóg rozlewa w naszych sercach, żeby stopniowo wykorzenić z nich zło. Ilekroć przychodzimy do Niego po przebaczenie, uznając swoją odpowiedzialność za zło, tylekroć je otrzymujemy i tylekroć On daje nam nowy początek, nowe życie. I będzie je odnawiać aż do skutku, na przekór naszej niecierpliwości, naszym słabościom, na złość naszemu grzechowi.

Przyznam, że uwielbiam spowiadać. Nie dlatego, że dowiaduję się wtedy czegoś specjalnie ciekawego, ale dlatego, że mogę być świadkiem tego, jak Bóg podnosi grzesznika.

Gdybym miał powiedzieć, co mnie nawraca w Kościele, wskazałbym ludzi przychodzących się spowiadać. W konfesjonale dzieją się cuda. Kościół sam jest zbudowany z tego cudu, jest stworzony z przebaczenia grzechów, a ściślej: z przebaczenia grzechów. Wynika z procesu, który ma nas ostatecznie doprowadzić do tego, że zaufamy Bogu na wieczność. Mam tu na myśli pewien ideał Kościoła, którego na co dzień nie jest może tak łatwo doświadczać. Chciałbym jednak wszystkim życzyć, żebyśmy takiego Kościoła pragnęli i takich siebie w Kościele pragnęli.

Nie zrozumiemy Kościoła, jeśli nie spojrzymy na historię Izraela. Jezus był Żydem, apostołowie byli Żydami, ich pojmowanie – a czasami niepojmowanie – Boga miało początek w czasach Abrahama.

W historii Zuzanny, opisaney w Księdze Daniela (Dn 13), i w Ewangelii św. Jana (J 8,1-11) mamy do czynienia z oskarżeniem o cudzołóstwo. W pierwszym przypadku, w Starym Testamencie, niewinna kobieta zostaje ocalona, natomiast winni ponoszą karę śmierci. W Ewangelii Jezus

ocala winną. To chyba jedna z zasadniczych różnic pomiędzy tym, jak Boga rozumie naród wybrany przed pojawieniem się Jezusa, a tym, jak w Kościele rozumiemy Boga poprzez Jezusa.

Czytając Stary Testament, widzimy, że Bóg próbuje w wybranym przez siebie ludzie zbudować pewną świadomość. Poczynając od Abrahama, powoływanie ludzi przez Boga zwykle skutkuje ostatecznie ich powodzeniem na tym świecie. Bóg obiecuje Abrahamowi ziemię, potomstwo i pomyślność pod warunkiem dochowania wierności. Nie ma w tym jeszcze nic szczególnie „duchowego” – a mimo to jest początkiem odwracania konsekwencji grzechu Adama, który zwątpił w to, że Bóg chce dla niego dobra. Abraham był pierwszym z długiej linii tych, którzy zaufali. Ale zanim przyszedł czas Jezusa, musieli oni przejść długą drogę.

Ta droga wiary związana jest z przechodzeniem przez kolejne etapy. Na początku jest tak, że jeśli ktoś zrobił nam krzywdę, mamy ochotę zgładzić go razem z jego dziećmi i przyjaciółmi. Stary Testament

w najstarszych warstwach zdaje się na to pozwalać... Nawet Bóg wydaje się temu przychylny. W tekstach powstałych tysiąc lat przed Chrystusem Bóg „karze grzechy ojców na synach do trzeciego, a nawet czwartego pokolenia” (Lb 14,18). Ówczesnie żyjący byli przekonani, że Bóg taki właśnie jest – a wynikało to zapewne z tego, że sami byli tacy. To jedna z najpoważniejszych pułapek, w które możemy wpaść: uczynić sobie Boga według naszej miary i posługiwać się Nim jako usprawiedliwieniem i uzasadnieniem naszych wyborów. Sporo czasu musiało upłynąć, zanim pojawiło się w Izraelu prawo, które ograniczało zemstę. Słynna zasada „oko za oko, ząb za ząb” stanowiła postęp w miłosierdziu, oznaczała bowiem, że zemsta musi mieć miarę, że może sięgać jedynie tej krzywdy, której doświadczyło się samemu. To prawo pozwalało także rozpoznać, że w Bogu nie ma pragnienia wielopokoleniowej zemsty. U proroków zaczęło się powoli pojawiać przekonanie – zwłaszcza w VII i VIII wieku – że nawet jeśli ktoś płaci śmiercią za grzech, umiera tylko ten,

kto zgrzeszył. Każdy jest odpowiedzialny za siebie, winy nie dziedziczymy.

Myślenie o dziedziczeniu winy wciąż przysparza nam problemów. „Jeśli przydarzyło mi się coś złego, zapewne jest to efekt zemsty Boga za to, co zrobili moi rodzice czy dziadkowie”. Izrael już kilka wieków przed Chrystusem odkrył, że to złudzenie, pozostało w nim przekonanie, że brak pomyślności w świecie jest efektem niewierności człowieka Bogu. Jeśli zatem ktoś jest piękny i bogaty, ma mądrą żonę lub męża i świetnie mu się powodzi, znaczy to, że jest dobry i Bóg mu błogosławi. A jeśli ktoś jest brzydki, biedny, samotny i ponosi klęski, na pewno wynika to z jego grzeszności.

W czasach już dość bliskich Jezusowi pojawiła się jednak Księga Hioba, która pod tym względem wiele zmieniła. Jej bohater cieszył się wszelkimi błogosławieństwami i pomyślnością: miał żonę, dzieci, bydło i wielkie majątki. W krótkim czasie to wszystko stracił. W udramatyzowanym opowiadaniu odpowiedzialny za to jest diabeł, który mówił do Boga: „Wyciągnij, proszę, rękę i dotknij

jego majątku! Na pewno Ci w twarz będzie złorzeczył” (Hi 1,11). Hiob, na którego spadały kolejne nieszczęścia, zaczął się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje, czemu pada ofiarą tych wszystkich klęsk, skoro nie zgrzeszył. Wtedy przyszli do niego „niezawodni” przyjaciele, by przekonać go, że jednak na pewno musiał zgrzeszyć. W końcu wkroczył sam Bóg i powiedział mu mniej więcej tak: „Czyś ty wkładał krokodylowi zęby do paszczy, żeby mnie pytać o takie rzeczy? Czyś ty układał świat, żeby próbować to zrozumieć?” (por. Hi 38–41). Hiob nie otrzymał wyjaśnienia. Bóg przywrócił mu częściowo doczesne błogosławieństwo, bo wytrwał bez złorzeczy, ale nie ujawnił odpowiedzi. W świadomości Żydów zasiane zostało jednak przekonanie, że pomyślność doczesna niekoniecznie oznacza błogosławieństwo Boże, a nieszczęście nie musi być efektem grzechu.

Jezus poszedł właśnie w tym kierunku: nie ma związku między pomyślnością a świętością ani brakiem pomyślności a grzechem. Czasami dobre rzeczy zdarzają się złym ludziom, a złe rzeczy dobrym. Nie wiemy,